

Piotr Zaccaro

# Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

31

Machinalnym ruchem Dawidson wziął pieniądze, ale w chwili, kiedy je miał schować do kieszeni, głos matki Angot rozległ się w drugiej sali.

— List do kapitana Dawidson? — mówiła stara — zaraz mu go wręcze.

I matka Angot stanęła na progu, trzymając w ręce kopertę. Kapitan otworzył list niecierpliwie.

Ale zaledwie rzucił okiem na pismo, lekki okrzyk wybiegł z jego piersi.

— Cóż tam takiego? — zapytał Paskal.

— Do dyabła! — zaklął Dawidson. — Zaczynam wierzyć w czary.

— Cóż takiego?

— Ten list w tej chwili! Ciekawa historia, doprawdy!

— Cóż jest w tym liście dziwnego? — nalegał Paskal niecierpliwie.

— Pisz go jeden z trzech pasażerów, których mam zabrać do New-Yorku.

— I czegoż on chce?

— Niech pan posłucha.

— „Kochany panie Dawidson — czytał głośno kapitan — jesteśmy w Brest od dziś rana i nie zamyślamy zatrzymywać się tu długo. Niechże więc pan będzie gotów do podróży, tak jakżeśmy się umówili, bo chcę najdalej za trzy dni odpłynąć z towarzyszami do New-Yorku“.

List podpisany był „Lopez“, ale kapitan w rozgorączkowaniu zapomniał o tem.

— Ależ to się cudownie składa. Nie uważa pan? — zawołał Paskal, uradowany z tak dobrej wiadomości w chwili, kiedy obawiał się, że zamiar jego spełnie na niczem.

— Tak, doskonale się składa — powtórzył kapitan. — Mogę teraz tym sposobem przysłużyć się panom i zadośćuczynić zobowiązaniom moim wobec tamtych pasażerów.

Paskal z zadowoleniem skinął głową i powstał.

Ale kapitan zatrzymał go ruchem ręki.

— Jeszcze słów parę — rzekł żywo.

— Czy nasza umowa nie podoba się panu? — zapytał Paskal, brwi marszcząc.

— Nie mówię tego, mój panie. Tyle pieniędzy każdy chętnie zarobić pragnie. Przyjmuję więc propozycję pana.

— A więc?

— Musimy jednak omówić kilka jeszcze szczegółów, dotyczących się wykonania naszego planu — rzekł poważnie Dawidson.

— O co panu chodzi?

Kapitan wrzucił ramionami.

— Rozumie pan, że moi pasażerowie wynagradzają mnie dostatecznie, aby czuć się panami sytuacji i wymagać zupełnej wolności na moim okręcie. Nie trzeba więc, ażeby zauważyli, przynajmniej w pierwszych dniach, obecności waszej, rozumie pan? Naraziłoby to mnie na wielkie nieprzyjemności.

— Więc coż trzeba robić? — mruknął Paskal, który pomimo niechęci nie mógł odeprzeć słusznej uwagi kapitana.

— Rzecz bardzo prosta.

— Jaka?

— Liczba pasażerów jest oznaczona, ale liczba majątków moich nie.

— Ach! Zaczynam rozumieć! — zawołał Paskal, którego twarz rozjaśniła się nagle.

— Pań i pana przyjaciel włożycie więc ubranie majątków i będziecie udawać podczas przejazdu, że należycie do mojego personelu.

— Dobrze.

— Zgadza się pan?

— Oczywiście!

— Nie zapytuję pana — ciągnął dalej kapitan — jaki macie cel, chcąc otoczyć się tajemnicą, jak również nie wspominam o niebezpieczeństwie, na jakie się narażam przyjmując was na swój okręt. Ale jestem zmuszony wyjawić panu pewną rzecz, abyśmy nawzajem wiedzieli, czego się trzymać mamy.

— Cóż jeszcze? — zapytał Paskal niechętnie.

— Chciałem panu zaznaczyć, że na pokładzie moim jestem absolutnym panem i jeżeli obecność wasza miałaby wywołać jakie niebezpie-

czeństwo dla mnie lub dla tych, których zobowiązałem się odstawić na ląd stały, nie zawaham się ani chwili, aby się was pozbyć i zostawić gdziekolwiek bądź, jeżeli tego zajdzie potrzeba. Oto wszystko.

Paskal zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Zapytywał się w duchu, czy dobrze uczyni, powierając się wraz z bankierem w ręce kapitana i czy nie powinien był mu wyjawić całej prawdy.

Ale Paskal nie należał nigdy do ludzi, którzy obierają prostą i szczerą drogę w życiu. Lękał się przylem skompromitować nieodwołalnie, wydając podobnie ważną tajemnicę człowiekowi nieznanemu, który pomimo obiecanego wynagrodzenia mógł ich zdradzić i zgubić.

Postanowił więc milczeć.

— A więc pan mnie dobrze zrozumiał? — zapytał kapitan Dawidson.

— Doskonale — odparł Paskal wstając.

— Za dwa dni odpłyniemy, a właściwie za dwa dni musicie już być na okręcie.

— Tak, za dwa dni.

Mówiąc to Paskal skinął głową i opuścił salę.

Dawidson patrzył chwilę za nim, w końcu potrząsnął znacząco głową.

— Hm, hm — mruknął przez zęby — oto człowiek, który wydaje mi się być porządnym nędznikiem. Jeżeli towarzysz jego z tego samego gatunku, mogę się pochwalić, że będę miał na okręcie dwóch niecodziennych łajdaków. Ale co tam! Banknoty nie są fałszywe, a biorąc je, nie czynię krzywdy nikomu. A poza tem będę dobrze pilnował moich płaszków, jeżeli się będą zachowywać nie tak, jak należy, zastrzelę jak psów!

Uczyniwszy to postanowienie, Dawidson wypił jeszcze jedną szklankę ponczu i wyszedł z kawiarni matki Angot.

List, który kapitan odebrał przed chwilą, był rzeczywiście pisany przez Lopeza.

Tego samego dnia jeszcze do najlepszego hotelu w Brest zgłosiło się troje podróżnych. Przybywali z Juyon, małego miasteczka dolnej Bretanii i mieli wkrótce odpłynąć do Ameryki.

Kiedy tylko powóz, przywozący ich, zatrzymał się przed bramą hotelu, wysiadł z niego Frank i Fernanda i podczas kiedy Lopez zajmował się bagażami, młodzi ludzie pospieżyli do zamówionych dla siebie wcześniej jeszcze apartamentów.

Zamówione mieszkanie składało się z dwóch pokoiów sypialnych i salonu. Jeden z pokoiów przeznaczony był dla Lopeza, drugi dla Fernandy i Franka.

— Nareszcie jesteśmy w Brest — rzekł Frank, wchodząc do mieszkania. — Za trzy dni wsładamy na okręt, a za miesiąc najdalej znajdziemy się w New-Yorku. Nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się, że wówczas dopiero czuć się będę całkiem szczęśliwy, kiedy na zawsze opuszczę wybrzeża Francji. A jednak nie wybierałbym się w tę podróż, gdybym nie miał przed sobą nadziei powrotu.

— To tak jak i ja — odparła Fernanda, pociągając Franka na kanapę.

— Ameryka nie jest naszym krajem rodzinnym, nieprawdaż kochanko? A przytem muszę ci się przyznać, że od niedawnego czasu marzenie pewne zaświtało mi w głowie.

— Marzenie?

— Myślałem o tobie.

— A więc?

— Wiesz, z zazdrością przyglądam się tej pięknej Bretanii, przez którą przejeżdżaliśmy i żalowałem, że nie możemy tam pozostać dłużej. Dziwnie ten malowniczy zakątek naszego kraju oddziaływa na mnie. Zdaje mi się, że tylko pośród tych uroczych domków, uczipionych u skał, jak gniazda ptaków, skąd rozciąga się wspaniały widok na pełne morze, znaleźć można prawdziwego spokoju i szczęścia. Ach! Wiesz Fernando! Lękam się, czy piękne nadzieje, jakie pokładamy w Ameryce nie zbledną wobec tych wspomnień, jakie zabieram stąd ze sobą.

Fernanda uśmiechnęła się lekko i ujęła w serdeczny uścisk rękę Franka.

— Nie spieszmy się z zawczesnym sądem — odrzekła. — I ja również odczułam w Bretanii te wrażenia, o których mówisz, mój Franku, ale od kilku dni tyle nowych rzeczy wypełnia moje życie, jestem tak szczęśliwa twoją miłością i przyszłością, jaka się przed nami otwiera, że zdaje mi się, iż teraz dopiero zaczynam żyć

naprawdę. Przeszłość nie istnieje już dla mnie. Żyję całą pełnią teraźniejszej chwili i zapytuję się, czy gdziekolwiekindziej znalazłabym radość i rozkosz większą!

Fernanda nie dokończyła jeszcze, kiedy Frank nagłym ruchem objął ją ramieniem i przycisnął silnie do piersi, patrząc w jej oczy z miłością.

Od kilku dni dopiero połączeni ze sobą zostali na zawsze. I te dni kilka młoda kobieta przeżyła w upojeniu, które się jej wydawało snem cudnymi. Widok szczęścia Franka potęgował jeszcze w niej ten nastrój.

Wejście Lopeza przerwało wynurzenia młodej pary. Wyraz szczerzej radości i rozrzewnienia błysnął w oczach Lopeza.

— Czas na śniadanie, moi kochani — zawołał weselo. — Jestem dyabelnie głodny po tej podróży, a zdaje mi się, że i wam nie wystarczą tylko czule słówka i pocałunki.

Frank zaśmiał się i uściśkał Lopeza.

— Napisałem do Dawidsona, uprzedzając go o naszym przybyciu — rzekł Lopez. — Spodziewam się go lada chwila.

Kończono właśnie śniadanie, kiedy służący hotelowy oznajmił nadejście kapitana.

Lopez kazał go wprowadzić do pokoju, przywitał uściśnieniem ręki i posadził przy sobie.

— A więc, kapitanie — zaczął, nalewając mu duży kieliszek rumu — czy jesteśmy gotowi do odpłynięcia w dniu oznaczonym przezemnie?

— Będziemy gotowi jak tylko pan rozkaże — odpowiedział z ukłonem Dawidson.

— Czas będzie dobry zdaje się?

— Doskonale.

— I dopłyniemy do New-Yorku w przeciągu miesiąca, nieprawdaż?

— W przeciągu dwudziestu czterech dni, lub mniej jeszcze.

— A to wspaniale! Dziś wieczorem każę bagaże nasze zanieść na okręt, a jutro zjawimy się sami. Czy pan niema nic przeciwko temu?

— Powtarzam, że jestem na rozkazy pana. Jeżeli sobie pan życzy, przyślę z okrętu moich ludzi po rzeczy państwa. To pójdzie prędzej.

— Owszem, jeżeli to panu nie uczyni żadnej różnicy.

— Żadnej.

Po omówieniu jeszcze kilku szczegółów, dotyczących się przeprawy, kapitan powstał i grzecznie pożegnał swoich przyszłych pasażerów, życząc im dobrej nocy.

Ale nagle zatrzymał się poruszony.

Silny wystrzał armatni dał się słyszeć od strony morza i Fernanda niespokojnie przytuliła się do Franka.

— Co to jest? Czy słyszeliście panowie? — wymówiła drżącym głosem.

— Och! To nic wielkiego — odpowiedział Dawidson, zwracając się od progu. — W portach gdzie są więzienia, jesteśmy przyzwyczajeni do takich niespodzianek.

Ale Frank, również jak i Fernanda, był zaniepokojony tym nieoczekiwanym wystrzałem.

— Wytlumacz mi, co to jest, mój przyjacielu — zwrócił się do służącego, który wszedł sprzątnąć ze stołu. — Cóż ten wystrzał armatni ma oznaczać?

— To wystrzał na alarm — oznajmił służący.

— Na alarm?

— Tak. Ma to znaczyć, że jednemu z więźniów tutejszych udało się uciec.

— Czy to możliwe? — zawołała Fernanda.

Służący uśmiechnął się.

— Och! Niepotrzebnie się pani obawia — mówił dalej. — Zdarza się to dosyć często, co tydzień prawie, ale biedacy nie daleko uciec mogą, bo strażę pochwycą ich zawsze i odstawia z powrotem do więzienia.

— Więc pocóż narażają się na taki nieudany zamach? — zawołał Frank — skoro nie mają nadziei zachowania wolności! Nie rozumiem, dlaczego odważają się na tak trudne przedsięwzięcie, skoro go nigdy do rezultatu doprowadzić nie mogą.

— Kiedy, proszę pana, oni są poniekąd do tego zmuszeni — odpowiedział służący.

— Jaki?

(Ciąg dalszy nastąpi)